№ 13.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 25 marca 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytośc prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcya ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

M O D Y.

Z Paryża, dnia 15 marca 1848.

Stroje damskie. Najnowsze całkowite od od wyjścia stroje są następujące: Suknia atłasowa, ze stanikiem otwartym w kształcie serca i to mocno otwartym; wkoło szeroką koronką obszytym; rękawy miernie szerokie, w górze koronką obszyte; mankietki marszczone, przymocowane do półrękawków; spodnica jedną tylko, lecz bardzo szeroka przyozdobiona falbaną, którą przytrzymuje w górze szeroka krepina. Atłasowy z piórami kapelusz; ponieważ stanik jest mocno otwarty, więc do tej sukni użyta być powinna szmizetka pod szyję zachodząca z małym kolnierzykiem. Suknia czarna morowa, trzy razy szeroką koronką obszyta, z wysoko zachodzącym stanikiem i obcisłemi rękawami; szafirowa aksamitna narzutka, także koronkami obszywana i biały atłasowy kapelusz, gierlandą z róż przystrojony.

S t r o j e b a l o w e: Suknia ze szkockiej kitajki, w pasy pąsowe i zielone, z gładką spodnicą, i gładkim stanikiem, mocno wyciętym i kończastym, ubrany draperiami od ramion aż do szwu środkowego; rękawy bardzo krótkie, składające się z trzech ukosów; na głowie ubranie ze szkockiego kaszmiru, przyozdobione żołędziami jedwabnemi. Suknia *à la Gabrielle d'Estrées* z białego atłasu, stanik wycięty i kończasty; szeroka koronkowa berta; rękawy gładkie, z bransoletkami z drobnych bez liści różyczek; spodnica gładka, koronkami obszywana; włosy ułożone *à la Marie Stuart*. Różowa atłasowa suknia, stanik kończasty i wstążkami ubrany w draperie; rękawy bufowane; spodnica wstążkami ubrana; na głowie także ubranie z wstążek.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Dokończenie.)

Stary ksiądz miał oczy zamknięte, ani śladu życia na jego twarzy; najmniejszego nie słychać oddechu. W tem usta otworzył i bladą twarz rozjaśnił uśmiech łagodny. Staruszek drzymał i marzył zapewne o swojej Marijce, niewinnej i szczęśliwej.

Uspokojona chwilowo Marijka długo jeszcze klęczała u nóg dziadka; chciała się modlić, nie mogła.

A przez drzwi otwarte patrzał na obojga, kulawy i brzydki Jurko; i łzy ciurkiem lały mu się po licach na widok tej sceny, którą poczciwem sercem swem czuł, choć słabym rozumem nie rozumiał.

„Może jeszcze czas!“ mimowolnie mruknęła jej w uszy nadzieja i chęć życia.

„Kiedyś miała odwagę rozpocząć, miejże odwagę wstrzymać“ mruczało jej sumienie.

„Ale jakże?“ szydził z niej własny rozum.

I po długich godzinach widząc, że starzec zasnął spokojnie, podniosła się Marijka i na palcach odeszła, a postrzegłszy Jurka wyszła do sieni i przerywanym głosem szeptała do niego.

— „Jurku! zlituj się!.... jest tu znowu Maciek....“

— „Wiem ja.... już go widziałem kilka razy jak się skradał nocami do chaty mielnika.“

— „Jurku! on cos złego chce zrobić....“

— „A mnie czort do tego; ja wiem, że Maciek to szubiennik, ale niech się go tam na górze strzegą...“

— „Zlituj się; dziadunio skona jak się dowie....“

— „Dobrodziej!“ zawołał przerażony Jurko, którego Marijka dotknęła w najsłabszą stronę.

— „A cożto dobrodziejowi szkodzi?“

— „Umrze powiadam ci jak się dowie, że to ja...“

— „Co?....“

— „Podpalaczka!....“

— „Pannuncia?!...“ I mimo całej głupoty zrozumiał wszystko.

— „Gdzież jest Maciek?“

— „Nie wiem.... ja z nim mówiłam przed burzą na górze przy figurze....“

— „On musi być w karczmie!“ zawołał i pobiegł o ile mógł tylko biegnąć biedny kulawy Jurko.

A czas tymczasem uchodził; światła w pałacu gasły powoli.

Z tegoto powodu Jurko biegał do karczmy i myślał, że potrafi zwrócić uwagę mielnika i wójta wiadomością o konaniu dobrodzieja, ale widząc, że już wszyscy popici, wrócił do Marijki, nie wiedząc co dalej począć.

— „I Froim należy do tego“ szepnął jej do ucha.

— „Boże! Boże! co tu począć?“ zawołała załamując ręce.

I wyszła na podwórze; ostatnie światło w pałacu krzewienieckim zgasło w tej chwili. Nie mogła dłużej wytrzymać na miejscu; pobiegła ku bramie.

— „Pannunciu!“ zawołał biedny Jurko zakłopotany.

— „Pilnuj dziadunia!“ zawołała Marijka i znikła.

A burza wrzała wściekła, burza sucha, okropna, jak w sercu Marijki; rzadkie jeno padały krople ciężkie, ołowiane; ale za to piorun padał po piorunie; łyskawice zdawały się niebo rozdzierać aż do głębi; wiatr huczał przeraźliwie, łamiąc konary, sypiąc pyłem i strzechami wiejskiemi przed siebie. Straszna była noc! o ile straszniejszą musiała się wydać biednej Marijce.

Starzec drzymał spokojnie; u nóg jego leżał Jurko zapłakany i przestraszony. Milczenie było zupełne w izbie.

Nowy wiatr pociągnął wirem na dziedzińcu księżym i takiego wysadził w powietrze młyńca, aż w górę wzniesione trzaski zadzwoniły w okna księżego dworku. I w tej chwili pies w sieniach obudzony łomotem na dworze zawył przeraźliwie.

Stary zbudził się nagle.

— „Marijko!“ zawołał, spuścił dłonie by pogłaskać kochaną wnuczkę, i dotknął się głowy Jurka, podnoszącego się ku niemu.

— „To ja dobrodzieju!“ wyrzekł zmieszany diak.

— „A Marijka gdzie?....“

— „Nie wiem.... bihme nie wiem!“ odpowiedział drżącym głosem.

— „Gdzie jest?!“ krzyknął donośniej starzec, przestraszony wyrazem głosu Jurkowego.

— „Mów! Gdzie jest?“ powtórzył.

— „Poszła.... za wrota....“

— „W taką burzę.... Jurku! mów co te jest?....“

— „Aj dobrodzieju!.... złe! złe!....“

— „Mów prędzej....“

— „Maciek znowu przyszedł do wsi.... i....“

— „I cóż?....“

— „I jak to on jest wielki drab.... pannuńcia.... namówiła.... to jest on namówił....“

— „Do czego?....“

— „Nie strachajcie się tak dobrodzieju, nie rzucajcie się, bo wam będzie szkodzić.“

— „Do czego?.... powiedz zaraz.

— „Aby.... podpalić.... dwór krzewiniecki....“

— „Ha! dla tego było już za poźno!....“

I zerwał się starzec z siedzenia swego; rumieniec nienaturalny wystąpił mu na twarz; siła nienaturalna wstąpiła w niego.... i poszedł chwiejącym się, ale szybkim dosyć krokiem ku drzwiom.

— „Ojcze! dobrodzieju!“ błagał Jurko, któremu pusta jego głowa nie poddawała żądnej myśli.

Stary nic nie odpowiedział, ale drżącą ręką podniósł klamkę, i po trzech miesiącach zupełnej niemocy, szedł na podwórze. Szedł, choćby to miały być ostatnie jego kroki; już mu tu nie o wnuczkę szło, ale o dopełnienie obowiązku swego, obowiązku kapłana zgody i miłosierdzia.

Ledwie tyle się Jurko opamiętał, że zarzucił płaszcz na barki księdza, czapkę mu podał na głowę, a kij dawno w kącie spoczywający, w ręce. I szedł kulejąc za starym księdzem, który coraz pewniejszym szedł krokiem mimo okropnej burzy, która gromem, łyskawicą i wichrem srożyła się coraz gorzej, i siwe włosy słabego starca targała niemiłosiernie. A coraz gęstsze krople padały ciężko na czoło starca, lecz on szedł dalej niewstrzymany. Czemże była burza naprzeciw uczuć, które nie biły w łonie biednego starca. Jurko szedł za nim kulejąc, i to się żegnał, to modlił, to znowu łamał sobie głowę, coby tu wymyślić.

W tem ozwał się w czasie krótkiego burzy przestanku jakiś głuchy z dala odgłos, jakby tętent konia. Starzec może nie słyszał, ale Jurko posłyszał dobrze, i pomyślał, żeby teżto jacy ludzie im w pomoc przyszli.... A z tą myślą zaświtała druga w jego głowie, i nic nie powiedziawszy, najrączejszym pędem, na jaki się w życiu tylko zdobył, pogonil diak nazad ku zagrodzie księżej. I tego starzec nie zauważał zapewne, bo szedł dalej nie obzierając się za siebie.

I znowu w czasie krótkiego burzy przestanku ozwał się już bliżej jakiś głuchy odgłos, jakby tętent konia. Lecz nowa wściekłość burzy zawrzała w powietrzu; płaszcz starego księdza wichrem porwany, zleciał mu z barków, a za nim i czapka spadła z głowy. Stary ksiądz uiewstrzymany szedł dalej i dalej, a siwe włosy latały mu wkoło głowy, jakby płaty śnieżne.

A tętent konia już wyraźniejszy i coraz bliższy.

Jeździec na koniu spienionym goni i goni; ledwie starca nie przejechał, aż się koń zlękniony cofnął i osadził na zadnich nogach.

A burza wyje coraz wścieklej, grom po gromie pada, łyskawice ziemi zda się dotykają i deszcz coraz rzęsistszy padać zaczyna.

W pół góry wiodącej ze wsi do pałacu, między drogą i polem w górze, a wsią w dole, rozrzucony bez ładu leżał skromny smętarz wiejski. Krzyż koło krzyża, a wszystkie wyciesane po prostu, zwyczajnie jak na wsi, to były jedyne tego smętarza pomniki. Tu i ówdzie nędzne drzewko, mały krzaczek, dowodziły czulszą jaką pamięć męża, syna, matki, żony. Lecz chłopek biedny niema czasu, by go tracić na sadzenie pamiątkowych kwiatów i krzewów, toteż smętarz wiejski nie wygląda tak świątecznie i tak pięknie jak smątarze miejskie, w których zbytek żyjących spływa nawet i na umarłych.

Po pod ten smętarz szła ścieżka wiejska. Tą ścieżką szli znajomi nam chłopi z żonami, z chłopcem. z Maćkiem i Froimem. Młynarz i wójt z babami dobrze podpici szli niebardzo prosto i niebardzo ochoczo, ale za to najweselej i najżwawiej leciał przed nimi chłopiec, wywijając wiechciem słomy, z którego dym wychodził. Biedny ahłopiec, nie rozumiał swego postępowania; biedne dziecko zepsute, bez wykształcenia. Czyż ono temu winne?...."

— „Iwane!" zawołał nagle jeden i wskazał palcem na smętarz.

Drugi spojrzał za nim i zaczął się krzyżować. A oba drzeli ze strachu i palcem wskazywali idącym za nimi Maćkowi i Froimowi.

— „Nu głupi goje!" mruczał żyd.

— „To jakaś płachta hajno przy figurze!" szepnął Maciek „Chodźta!"

— „Oj złe! oj złe!" mruczeli pijani chłopi, baby, i pełni strachu stali na miejscu i krzyżowali się.

Ledwie z wielką biedą popchnęli ich naprzód odważniejsi od nich Froim i Maciek.

Powodem ich przestrachu, który zatrzymał ich przez chwil kilka, był jakiś przedmiot, który zdawał się kołysać w środku smętarza.

To była biedna Marijka, która wyszedłszy z dworku bez myśli i bez celu zaszła na smętarz i uklękła przy porządniejszym nieco krzyżu, pod którym spoczywała jej matka. Ona nie wiedziała jak tam przyszła, lecz grób matki poznała od razu i po raz pierwszy dziś przyszła jej do ust szczera modlitwa.

— „Matko! matko! ratuj!" błagała w półgłosem.

Córce zdawało się, że choćby ją cały świat potępiał, matka ją wysłucha i przebaczy.

I nie słyszała nawet, modlitwą zajęta, szmeru i szeptań przechodzących. Aż gdy nagle łysnął piorun, zdało się jej, że widzi tuż przed smętarzem dwoch ludzi prowadzących konie, i zdało się jej, że ich poznała.

Chciała zawołoć, lecz słów zebrać nie mogła; wydała jeno krzyk przeraźliwy.

Idący usłyszeli ją.

Wkoło pałacu tymczasem cicho i ciemno. Idące grono podpalaczy już znikło zupełnie; tam tylko koło gumna coś czasem zamajaczeje i zaświeciło coś. Z początku gdyby iskra latająca, drobniutka, ledwie widzialna, coraz większa i większa, i w płomyk już wyrosła; a płomyk to się wyślizgnie, to się schowa znowu, ale za każdym razem coraz grubszy, coraz pełniejszy jak świeca, jak pochodnia, jak pożar wreszcie. Z wielką biedą jedna zajęła się sterta, a takich stert było kilkanaście, a koło nich budynki gospodarskie, a dalej pałac. Podpalacze rozbiegli się na różne strony, by od razu wszędzie podłożyć ogień.

Burza jak gdyby czekała rozhukania tego nowego na ziemi żywiołu niszczenia, wolnieć zaczęła, ale za to deszcz zaczął padać nawalny i gasił źle jeszcze rozszerzony pożar. Młynarz z wójtem i chłopem korowodzili się koło gumna, biegając tam i nazad z wiechciami palącemi się i gasnącemi ciągle od deszczu; chłopiec krzesał najcierpliwiej i najzawzięciej. Całej zaś scenie przyświecała jedna tylko postać sterty dobrze już gorejąca.

W tem z daleka ozwał się głos dzwonu, z początku cichy, potem coraz głośniejszy, głos przeraźliwy, na gwałt bijący.

I za jednym dzwonem ozwały się drugie dzwony cerkiewne, i wszystkie dzwonią bez ustanku, niezmordowanie, coraz głośniej i gwałtowniej. To diak dzielny na gwałt bije we wszystkie dzwony. To była ta jego myśl pierwsza i ostatnia w życiu, którą gnany porzucił idącego księdza.

— „A to co Iwane?" ozwali się przestraszeni podpalacze.

— „To od gromów!" tłumaczył jeden.

— „Aj nie! to na gwałt! to toj Jurko dzendzeleni!" powiedział drugi.

To nowe zdarzenie połączone z gaszącym deszczem coraz więcej odbiera im odwagę; jeden tylko chłopiec najczynniejszy skacze tam i nazad, i coraz nowe wpycha w słomę zarzewia.

Dzwony tymczasem walą bez ustanku; jakoż tu i ówdzie słychać już gwar mówiących we wsi; ludzie pobudzeni zchodzą się, wypytują i biegną szukać tego ognia.

— „Stójcie!" zawołał nagle głos wszystkim dobrze znany, tuż koło gumna.

Przestraszeni podpalacze obejrzeli się i poznali sędziwego księdza bez płaszcza, bez czapki, z rozwianym siwym włosem, bladego okropnie.

— „Stójcie!" zawołał drugi głos męski dobitny.

*

Przestraszeni podpalacze obejrzeli się; a koło księdza stał mężczyzna wysoki i dorodny, tulący koło siebie w półomdlałą Marijkę. Choć go wszyscy znali, nikt nie poznał w nim naszego bohatyra, który przeczuciem gnany ledwie przyjechał do Wulki, pogonił do Krzewiniec i w sam czas zdybał starca biegnącego do pałacu.

Gwar tymczasem zwiększał się w dole, słychać było już wyraźne głosy wieśniaków idących na górę, by ratować gumno, z którego łyskało ledwie już kilka iskierek pożaru deszczem ugaszonego.

A na wschodzie zaczerwieniało się, krótka noc czerwcowa już się kończyła.

— „Dzieci moje!“ zawołał ksiądz do podpalaczy, którzy pokornie z gołemi głowami stali koło niego i patrzali w jego twarz bladą, dziwnym jakimś wyrazem rozpromienioną.

— „Gaście prędzej! to cudza własność!... a cudza własność nikogo nie syci!“

— „To pańska własność!“ ozwał się zuchwały młody chłopiec.

— „Przed bogiem to na jedno wychodzi, bo przed bogiem równy jest pan jak i chudy pachołek.“

I sami podpalacze zaczęli gasić coprędzej.

— „Niewielkabyto była szkóda!“ ozwał się jakiś chłop z pomiędzy nowoprzybyłych, którzy coraz tłumniej gromadzili się koło gumna.

— „Dosyć on nas nazdzierał!....“

— „Ale już więcej zdzierać nie będzie“ ozwał się nasz Kazimirz i przystąpił bliżej do grona wieśniaków.

Wszyscy prawie go poznali.

— „To panicz z Wulki!“ mruczeli do siebie.

— „A teraz wasz dziedzic! Tak jest“ mówił dalej zwrócony do Marijki, która jeszcze przyjść do siebie nie mogła „za pieniądze odziedziczone po stryju nabyłem długi na Krzewińcach, i dziś Krzewińce są już moje. Przekonałem się bowiem, najeździwszy się i nasłuchawszy się niemało, że najpierwszym obowiązkiem każdego z nas obywatela tej ziemi, aby przed wszystkiem mieszkał w ojczyźnie i pilnował tej ziemi, na której się urodził i która go żywi. Niech żyje każdy z nas na wsi, aby był bliżej tego ludu, którego niech naucza, niech mu pomaga, niech go podnosi do siebie, niech mu się raz da zbliżyć do siebie. Ja też tego majątku mego, który święcie zachowałem, użyję tylko w ojczyźnie, na poprawę tej części ziemi, a mianowicie tej części ludzi, których mi opatrzność dała w opiekę. A ci....“ mówił ciszej do Marijki, wskazując na pałac „zemsty niegodni, ani nam zemsta przystoi, bo to są zawsze nasi bracia. Ja nimi tylko pogardzam głęboko i mniemam, że się bez nich obejść może. Jeżeli z nich który zechce się poprawić, tem lepiej dla niego; nasze ramiona zawsze otwarte, jeżeli nie, mniejsza o niego; świat i my pójdziemy dalej bez nich.“

Wieśniacy coraz tłumniej zbierali się wkoło nowego dziedzica.

— „Tak jest, moje dzieci! to co wam powiedziałem, to wam święcie dotrzymam, bo w tem nasze wspólne dobro, bo to jest nasz obowiązek.“

— „Tak jest zgoda! zgoda!“ przerwał stary ksiądz „a pośrednikiem onej my sludzy jedynego boga być powinni. Bo bóg jeden nad nami, czy doń modlimy się po rusku, czy po łacinie, i jedna ta nasza ziemia, na której się porodziliśmy, na której w zgodzie leżą kości naszych dziadów. Zgoda! bo obrządek nie stanowi różnicy żadnej między dziećmi jednej wspólnej ziemi.“

I coraz słabł stary ksiądz, ale jeszcze się trzymał na nogach oparty na kiju, głowa jego cała pałała wyższem natchnieniem, które mu dodawało siły chwilowej przynajmniej. Rzeczywistej siły już nie było w nim; ta nocna wycieczka w burzy do reszty zniszczyła biednego starca.

— „Kochajcie i szanujcie waszego nowego pana jak ojca, jak brata starszego, jak opiekuna; a ty Kazimirzu kochaj i pielęgnuj ich jak ojciec, jak brat, jak opiekun. Marijko! ty chodź z przykładem, z nauką, radą a pomocą pomiędzy te biedne ich chaty!“

Nagle nowy ozwał się rozruch ze strony pałacu. Najprzód przyleciały zastraszone obie kobiety, za niemi przez pola pogonił Froim z rozczochranemi pejsami, lecz go wnet sami chłopi dognali. Jednego tylko jeszcze nie było Maćka; on dostał się do głębi pałacu, celem zapewne korzystania z rozruchu nocnego.

I ozwał się strzał wewnątrz pałacu, a po chwili słaniając ręką buchającą z piersi krew, nadbiegł Maciek.

Hrabia Alfred zbudzony nagle, gdy spostrzegł skradającą się do okna postać jakąś, strzelił i trafił go w same piersi. Upadł Maciek o kilka kroków od głównego grona stojących. Porwał się za piersi, chciał jeszcze przemówić, palcem wskazał na Marijkę odwracającą się od niego z odrazą największą, i upadł nareszcie. Gdy się zbliżyli do niego, już nie żył.

— „Ojcze mój! ojcze!“ zawołała Marijka przyskakując do starca, który coraz słabszy na jej oparł się dłoniach. I pomału, ostrożnie położyli starca na murawie.

A czerwoność na wschodzie zwiększała się i coraz jaśniejszych, coraz piękniejsyych przybierała barw. Nowy pogodny dzień zaświtał.

— „Ojcze mój! to ja ciebie zabiła!“

— „Nie dziecię moje!.... jam już czuł dawno ostatnią godzinę, czekałem tylko na przybycie Kazimirza.“

— „Ja to.... jam winna! jam występna!....“

— „Zbłądziłaś, ale masz całe życie przed sobą; bądź tylko szczęśliwa i zrób szczęśliwym Kazimirza i tych biednych wieśniaków, a umrę szczęśliwy-“

— „Przyrzekam ci mój drogi ojcze!“

— „Przyrzekam!“ powtórzył Kazimirz i oboje klękli przed starcem.

— „Oby to drudzy słyszeli i za twoim poszli przykładem“ mówił staruszek coraz powolniej, bo mu już tchu brakowało. „Oby zgoda!.... odrodzenie.... bądźcie zdrowi dzieci moje!.... i wy także....“

I wyciągnął obie dłonie ostatniem natężeniem i błogosławił niemi i dzieci swoje, i wszystkich wieśniaków, którzy pobożnie uklękli wkoło niego. Już mówić nie mogł, ale jeszcze szeptał modlitwę. Wschodzące słońce oświecało tę poważną scenę. Wszyscy klęczeli wkoło starego księdza ruskiego, który ich ostatniem spojrzeniem błogosławił. I ręce mu opadły, i czysta dusza kapłana prawdziwego uleciała w niebo. Wszyscy płakali wkoło i wszyscy modlili się.

— „Twoja na zawsze!“ szepnęła po chwili Marijka „i wasza“ dodała zwrócona do wieśniaków. „Chwilową żądzę zemsty płacę miłością tobie i wam.“

Kazimirz i Marijka dotrzymali słowa. Jakoż warto, by bracia szlachta i obywatele zjechali kiedy do Krzewiniec, a uwierzyliby może biednemu powieściarzowi, że on pisze gorżką czasem, ale prawdę.

Hrabiemu Alfredowi Kazimirz sam pomógł do wyratowania ostatków majątku. Jednakowo nie zdołał już w umysł jego wlać tych szlachetnych myśli, tej miłości dla ziomków, którą sam był przejęty. Z nienawiścią w sercu do kraju rodzinnego i do mieszkających w nim ludzi, wyjechał hrabia Alfred zagranicę, z postanowieniem niewrócania już nigdy. Hrabianka Izabella udała się do Warszawy, i oczywiście została kanoniczką.

FRANUŚ PORĘBA.

Zdarzenie prawdziwe z nocy 31. grudnia 1843.

Gwiazdy swieciły, a promień Krężyca
Walcząc przemożnie z ciemności zasłoną,
Jakby odblaskiem pogodnego lica
Oswiecał ziemie, smutną i zmrożoną.

Noc była cicha, spokojna, — milczenie —
Pełne tajemnic, powagi, uroku,
Osiadło zwolna całe przyrodzenie
Jakby szanując zgon starego roku.

Dni jego życia już się zakończyły,
Już się zaczęła godzina skonania,
Już inny, pełen młodocianej siły
Miał obiąć po nim berło panowania.

Już nawet swieże, lotnych życzeń roje
Wsparte nadzieją, — niestałości wzorem,
Nowemu Panu niosły hołdy swoje,
A ludzkie serca stały im otworem.

Bo taki zwyczaj, że co rok składane
Życzenia, chęci, marzenia, nadzieje,
Powstają, — gdyby zaklęciem wezwane
Jak tylko nowe słońce zajaśnieje.

Wszystkie zagrody obiegając kołem,
Wzruszają myśli przed chwilą niechętne,
Budzą uprzejmość, a w gronie wesołem
Zbliżają ręce, nawet obojętne.

Jeden drugiemu w tej godzinie sprzyja,
Na wszystkie strony oświadczenia płyną,
Głos pomyślności nikogo nie mija,
I każdy ze swą cieszy się rodziną.

Są jednak tacy, są biedne sieroty
Co scisnąć ręki nie znajdują komu,
Co zapomniane od wszystkich istoty,
Zdroje łez gorżkich leją pokryjomu.

Takim, ni wiosna nie przyniesie kwiatu,
Ani rok nowy szczerego życzenia, —
Tacy to, niechęć w darze niosą światu,
A świat im daje smutek i cierpienia.

Jeden z tych biednych, — młodzian, — dziecie prawie,
(Lat mu dwanaście niespełna liczono,)
Dumał samotny, lecz nie o zabawie,
Do której wzdycha rówienników grono.

Nie jemu chodzić z pieśnią po kolędzie
Co dzień jutrzejszy u kmiotków przywita,
Bo jemu bieda towarzyszy wszędzie,
A dzień swobody w dzień smierci zawita.

Nie jemu zrywać szczęścia i rozkoszy,
On tylko nędzy zna wyobrażenia.
Nędza zaś nawet u młodych wypłoszy
I myśl wesołą i siłę marzenia.

Nie jemu marzyć — głód sciska wnętrzności,
Zimno dokucza w zbyt skąpem odzieniu, —
Przez lichą szmatę nagie świecą kości.
Nogi się krwawią, na zimnym kamieniu.

A ciężka praca, bez żadnej nagrody,
Do której obcy, nie swoi wołają,
Dni bez wytchnienia, bez chwili swobody,
Za chleb codzienny nieszczęsnemu stają.

Jego młodości nikt śię nie lituje,
On niema ojca, ni matki, ni brata,
Nikt jzgo smutku spólnie z nim nie czuje,
I każdy śmiało sierotą pomiata.

Bóg mu jest obcym, nadzieja i wiara,
Modlitwy lubość i słodycz miłości,
Są mu nieznane, bo nikt się nie stara
Wskazać mu w niebie dziedzictwo ludzkości.

Kościoła nigdy nie przestąpił progu
Ci, którzy z niego narzędzie zrobili,
Nie chcą sierocie wspominać o Bogu,
Żal im tej sobie odkradzionej chwili.

Tak więc — śród nędzy i ciała i ducha,
Wiodąc bez jutra, dni ciągłej boleści,
Przykuty życiem do cierpień łańcucha,
Pragnienie zgonu w myśli swojej pieści.

Umrzyć, — to jedną jest zbawienia drogą.
W grobie głód, zimno nigdy nie dokuczy,
W grobie do pracy pociągać nie mogą, —
Silna opieka — kto się jej poruczy.

Wiosna po wiośnie — rok po roku spływa,
To jego mękom ulgi nie przynosi,
Lecz coraz nową nędzę mu odkrywa,
Nowemi łzami oczy jego rosi.

Dziś jeden kończy biegu swego wątek,
Ale go wszystkie przetrwają cierpienia,
Jutro, za chwilę, innego początek
Ale to przecież złej doli nie zmienia.

„I coż po życiu w opłakanym stanie?
„Coż po nadziei, kiedy zawsze zwodna“
Tak dumał biedny — a roku skonanie
Szło równie ciche, jak ta noc pogodna.

On stał pod progiem, ręce zakrzyżował,
Drzący, spoglądał obłąkanym wzrokiem,
I pragnął grobu, i świata żałował,
I nie chciał z nowym potykać się rokiem.

Już tylko chwila, już ten rok nastaje,
Już bliską północ gwiazdy oznaczyły,
Westchnął sierota, stąpił, jeszcze staje,
Ale z rozpaczą walczyć nie miał siły.

Wszedł więc do chaty z myślą już gotową,
Z chęcią niezmienną i dzikiem wzruszeniem,
On chce pozyskać spokojność grobową,
To będzie pierwszem spełnionem życzeniem.

Zimno i smutno, spojrzał koło siebie,
Śpią gospodarze — nikt mu nie przeszkodzi
Na ziemi — Boga nie wspomniał na niebie;
Straszny więc zamiar do skutku przywodzi.

A na ostatnie pożegnanie światu,
Bicz, jakby godło smutnej swojej doli,
Przytwierdza silnie do ramy warsztatu,
Zawdział na szyję; — już go nic nie boli!....

Kiedy ze świtem gospodyni wstała
Rozniecić ogień, i bydłu dać słomy,
Do zwykłych robot Franusia wezwała,
Lecz Franuś w oknie został nieruchomy.

Promień księżyca na twarz jego padał,
Która się tylko zamyśloną stała.
„Czemuż nie idziesz! . . “gospodarz zagadał,
A gospodyni za rękę porwała.

Ta ręka zimna i Franuś nieżywy,
Dłoń jeszcze ściska swej zguby narzędzie,
Krzyk w chacie, — z drugich zbiegają na dziwy,
I wieść tej śmierci roznosi się wszędzie.

Żalu jednakże nie wzbudził sierota,
Nędzny za życia, po śmierci wzgardzony;
Modłów i trumny odmawia prostota,
Prawem zaś smętarz dla niego zamkniony.

Zwłoki nie legły w poświęconej ziemi,
Twardy mu kamień ostatniem posłaniem,
Grobarz go przyjął słowy zelżywemi:
Bo on świat swojem obraził skonaniem.

Świat go potępił, my czyż oskarzymy,
Jego brak cnoty, stałości, wytrwania?....
Czyż także gorżką naganę rzucimy,
Gdzie serce raczej do litości skłania?

Padł on ofiarą nędzy i ciemnoty,
Owych upiorów, co nękają sioła;
Lecz samobójstwo biednego sieroty
Głosem wyrzutu na szczęśliwszych woła:

„Wy starsi bracia w ludzkości rodzinie!
„Jakże niedbałą jest wasza opieka,
„Wiosna za wiosną, rok za rokiem płynie,
„A kmiotek dotąd na oświatę czeka!....“

„Tłoczy go nędza, niewiadomość truje:
„Bo myśl nie wpadnie do ubogiej strzechy.
„Wiara, zbyt suchy, twardy grunt znajduje
„I trunek tylko nadzieja pociechy!“

Rąk najemniczych nie szukać po temu,
To nasza niwa, to jest nasze pole,
Oblicze boga odsłaniać każdemu,
I siać pociechę na ziemskiem padole.

Jeżeli u nas żyją czucia tkliwe,
Nieczułość tylko, słowna, ladajaka,
To niechaj światło, a światło prawdziwe
Wstąpi nakoniec do chaty wieśniaka.

Śmierć samobójcza jest klątwy przyczyną,
Spieszmyż tę klątwę swojem zmyć staraniem:
Bo wszyscy będziem obciążeni winą,
Jak długo jeszcze bezczynni zostaniem.

Maria z Gór.

——

Wiadomość.

Dnia 21. marca o godzinie 10tej rannej w kościele dominikańskim odprawionem zostało nabożeństwo żałobne za poległych Wiedeńczyków w dniach 13. i 14. b. m.: Światło dzienne w kościele zasunęły kiry w oknach zawieszone, żadna lampa nie oświecała z góry — w pośrodku kościoła wzniesiony katafalk rzęsisto oświetlony, w tej ciemni gmachu kościoła przemawiał najrzewniej, — wszystkich wzrok utopiony w ten wizerunek, pogrzebania poległych w uniesieniu poświęcenia się za sprawę wolności narodu, składał tym niemym aktem cześć ofiarom i męczennikom wolności.

Kościoł tak był pełnym, że już nie zdołałby był nikt się więcej pomieścić; tymczasem ukazały się przed kościołem dwie kompanie pułku Deutschmajstrów, rozeszła się o tem po kościele wiadomość i w ciszy ustąpiło wiele osób z kościoła, aby zrobić miejsce rodakom i krewnym poległych. Kompanie weszły i zajęły środek kościoła — rozpoczęło się nabożeństwo — ołtarze pańskie zajaśniały światłem, msze święte wyspiewane zostały głosem modlitwy uroczystej, a z chóru odpowiadały cudowne tony muzyki i spiewu harmonijne brzmienie.

Po nabożeństwie, gdy kompanie pułku Deutschmajstrów wychodziły, rozległ się w kościele i przed kościołem w licznie zebranym ludzie odgłos: „Niech żyją Niemcy! — Niech żyją Wiedeńczyki! Niech żyją bracia nasi w wolności!!!" — i rzucono się w uściśnienia istotnie braterskie, bo idea wolności konstytucyjnej napełnia serca tak wojskowych obecnych tu cudzoziemców, jako i ludności polskiej, i wykrzyknęli wojskowi: „Niech żyją Polacy!!!"

Kto chwili takiego widoku zbratania się duchowego ludów dożył, kto był świadkiem z serca płynących i wygłoszonych życzeń obudwu narodów dla siebie wzajemnie: — ten nie powie: że żył bez chwili uroku na świecie. *Mieczysław Darowski.*

MŁODZIEŻ AKADEMICKA
PRZY POGRZEBIE WALECZNYCH.

Uczniom szkół wiedeńskich poświęca M. G. Saphir.

Z sztandarem skłonionym i bębnem zgłuszonym,
Ze łzami kroczymy w olbrzymich mar ślad,
Na marach tych leży sam wybór młodzieży
Walecznych, poległych we wiośnie swych lat;
Zginęli, zwycięzcy, — wsławili swą broń,
Bo rany okryły ich piersi i skroń!

I chociaż zasiali to bujne nasienie,
To przecież nie dla nich zakwitnął zbóż kłos
Wylali na siejbę krwi swojej strumienie,
I kwiaty poświęceń i czynów swych głos;
Lecz żniwa plennego gdy nadszedł nam dar,
To sami snopami polegli śród mar!

A w chwilach ostatnich, w skonania już mękach
Widziano ich wszędzie śród murów i bram,
Broń tylko trzymali w skurczonych już rękach,
Że nawet jej wydrzeć nie zdołał skon sam!
I rzekli nam jeszcze śmiertelnym już tchem:
„My bylim jutrzenką, a bądźcie wy dniem!"

I stało się słowo — spełnilim ich wolę!
Spełnilim już — wedle sumienia i sił;
I jeśli nie byli tu z nami na dole,
To okrzyk nasz dziś tam się do nich już wzbił!
Już wiedzą — i duch ich z niebieskich już stref
Jak bóstwo spogląda na świeżą ich krew.

Więc ziemię otwórzcie, i spuśćcie ich zwłoki!
Nie będziem je liczyć, bo na coż liczb nam?
Wszak wszyscy jak jeden w grób idą głęboki,
I myślą jak jeden tu przodem szli nam,
Jak jeden walczyli, i padli tu wraz,
I razem jak jeden żegnają dziś nas!

Przy bębnie zgłuszonym, z sztandarem ku ziemi!
Ku ziemi pałasze! do nogi złóż broń!
Za wolność kto walczył, piersiami kto swemi
Zasłonił ojczyznę — do modłów się skłoń:
„O żyjcie! wy dzielni, dziś święci, zbóstwieni!
„Gdzie wawrzyn i palma się dla was zieleni!"

(Z niemieckiego przełożone przez Zygmunta Kaczkowskiego.)

Kilka słów o wychowaniu,

przez M. P.

I.

Mimo znacznej liczby książek po dziś dzień w tym przedmiocie pisanych, mimo statecznych usiłowań spieszącego do oświaty wieku, myśl wychowania dla wielu jest jeszcze nierozwiązaną zagadką, a raczej w ich wyobrażeniu rzeczą tak prostą, że żadnych nie potrzebuje tłumaczeń. Trudne i szanowne to dzieło kładą prawie na równi z rzemieślniczą pracą, która bez szkody dla dokładności wyrobu z rąk do rąk przechodzić może, którą odmieniać, zarzucać i poniewierać się godzi. Nie zgadują, że to jest tajemniczy łańcuch, którego ddlikatne ogniwa bezkarnie rozrywać się nie dadzą, bo sztuka już tylko powierzchowność przykryje, ale straconego hartu nie wróci; nie domyślają się, że wychowanie człowieka jest drugiem jego stworzeniem, jest nowym chrztem życia, jeśli celowi swemu odpowiedzieć umie.

Człowiek przychodzi na świat nagi, bezbronny, słaby i niewiedzący o niczem; rodzicielska miłość tuli go w sweje ramiona, chroni opieką, pielęgnuje wątłą dziecinę i pieszczotami ukształca. Jakżeto pięknie patrzyć, kiedy ojciec i matka z uśmiechem na twarzy poglądają na to żywe uosobienie świętej jedności małżeńskiej, pomagają stopniowemu rozwiciu i z baczną troskliwością uczą pierwsze stawiać kroki. O! dla czegoż ciało tylko takie ma starania, dusza zaś, ta lepsza, droższa część ludzkiej istoty, tak często, tak bardzo często zupełnie zaniedbaną i poniechaną zostaje?.... Ileż zachodów, ile pilności koło sił fizycznych, ile uwagi na wszystko co ich wesprzeć lub im szkodzić może, a z drugiej strony jakże mało pamięci o tem co jedynem jest prawem do wyższości nad resztą stworzenia, co więcej, jedynem, i bądź co bądź, jedyną drogą do szczęścia!

Czemże człowiek najłagodniejszy, najpolerowniejszy, najhojniejszy uposażony tem wszystkiem, co z pełnej ręki rzucić mogą losy i natura?.... Czemże on jest, mówię, czemże on będzie w pierwszem starciu się z okolicznościęmi, w pierwszej walce ze światem? Oto żeglarzem bez kompasu, wątłą trzciną, którą każdy wiatr pomiata, niszczącym wichrem obalającym wszystko po drodze, jeżeli dusza jego nie ukształcona, nie rozwinięta, nie wsparta wychowaniem została.

„Przesada!“ zawołają ntektórzy „czegoż ona chce jeszcze od tegoczesnych kształcenia sposobów? czyż mało jej tych wszystkich nauk, wiadomości, talentów, które czarodziejska rószczka nauczycieli w najtępszych umysłach rozwija?....“ Tak jest, za mało jeśli nie podniosą ducha, za nadto prawdziwie, gdy tylko źwierzę zdobić mają. Do źwierzęcego życia za nadto tych wszystkich zachodów, i szkoda nam czasu, szkoda drogich chwil wesołej młodości, które zasępiły się niemi, a w życiu moralnem, duchowem, do czegoż posłużą jeżeli naprzód nie wskazano im celu?.... Zdadzą się czasem, nie przeczę, ale zdadzą się tylko przypadkiem, a w ogóle uposażając niemi dzieci wasze czynicie podobnie, jak gdybyście na pożytek ich drogie obrócili narzędzia, lecz dając im do rąk takowe, nie objaśnili sposobów użycia.

Koń nauczony chodzić tylko w gładkiej ujeżdżalni, gdzie najdziwniejszych dokazuje zwrotów, spuści głowę i stanie zdurzony, gdy mu przyjdzie piąć się wąską ścieżką na grzbiet stromej góry, a tancerka co w teatrze publiczność sztucznemi zadziwia skoki, zachwieje się nieraz albo i upadnie po śliskiej drodze nad przepaści złomem, bo jedno i drugie ma tylko sztukę dla sztuki, dla popisu, nie zaś wprost dla siebie. Tak podobnie i człowiek przy najwygórowańszem ukształceniu może często chwiać się lub zabłądzić, jeżeli wychowanie, ta świetna pochodnia, mająca dokładnie objaśniać całą życia drogę, jemu tylko jako salonowa błyskotka wystawiona i udzielona została.

Wieleżto razy bracia i synowie nasi szkolnym oddychając pyłem, — wiele razy siostry i córki więdnąc nad stosami różnych foliałów, — gdyby zapytali na co to wszystko służyć im będzie, otrzymaćby mogli tę odpowiedź: że sami nie wiemy, albo że się to głównie dla zwyczaju robi.

Dla zwyczaju tylko? szkoda, wielka szkoda, bo jak z każdego kwiatka skrzętna pszczoła miód wyciągnąć umie, tak skażdéj nauki do prawdziwego pożytku w życiu coś da się zaczerpnąć, ale nie każdy potrafi, a jéśli wszystkie wiadomości, które nie bacząc nawet przyrodzonego pojęcia, każe zwyczaj zapychać w głowę, naszej młodzi, jeśli mówię te wszystkie wiadomości do tego tylko służyć mają żeby tam nieruchomie leżały jak stare pargaminów zwoje w zbiorze bibliofila, to lepiej byłoby podobno nie tamować niemi fizycznego rozwicia, i wychowywać ludzi silnych przynajmniej ciałem jeśli nie umysłem.

„Wychowanie,“ powtarza dotąd jeszcze wiele osób, „wychowanie jest nader łatwą w dokonaniu rzeczą: tylko tyle a tyle nauczać, takiego a takiego stopnia powierzchownej dosiągnąć ogłady, już i na tem koniec. Zapewne, gdyby całe życie człowieka, jak teatralne życie aktorów, kończyło się zawsze na kilkogodzinnej wystawie; ale właśnie po za obrębem salonowego bytu, zaczyna się dopiero prawdziwe ćwiczenie, prawdziwa potrzeba w życiu tego wszystkiego co nam staranne wychowanie mogło, powinno było udzielić, biada wtedy, jeżeli cel swój pominie!

W starciu się z okolicznościami, w każdochwilowym wyborze najlepszej drogi, śród tysiąca ścieszek krzyżujących się przed nami, w zarządzeniu sobą, rodziną w oparciu się rozlicznym pokusom lub też obawom towarzyszącym każdej ludzkiej pielgrzymce na ziemi, pokazuje się dopiero wartość kleinotu jakim uposażyli nas Rodzice, pokazuje się, niestety! zbyt często że szych dla nas braci za złoto! I ta to jest, największa w tegoczesnem wychowaniu chyba, że zasady jego nie rzadko są dawane jak próbki do pokazania drugim, że nie masz stałych prawideł stosujących się do samodzielnego, praktycznego życia, lecz same tylko ogólniki, z których, jak z książki zawierającej wzory do listów, niesłychanie bywa trudno coś zdatnego do okoliczności wyszukać.

Jednakże tylko dokładna znajomość przedmiotu, tylko pewność każdego kroku, może jak w towarzyskiem obeściu, tak i w codziennych wypadkach życia, nasze powodzenie zapewnić, tylko wychowanie gruntowne, mniej na licznym ubiorze wiadomości jak na przyzwoitem ich zastosowaniu oparte, stać się może tą igłą magnesową stale wskazującą, drogą i od rozbicia broniącą, a gdzie tego nie masz tam na próżno chełpić się będziem bogatym plonem zebranym na polu nauki, bo nie na wiele się przyda.

Redaktor odpowiedzialny JAN DOBRZAŃSKI. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.